



DOMINIKA BUDZIŃSKA

NIEWOLNICY
SNÓW

CZĘŚĆ II

DOMINIKA BUDZIŃSKA

NIEWOLNICY SNÓW



CZĘŚĆ II

[Kup książkę](#)

© Copyright by
Dominika Budzińska & e-bookowo
Korekta: Patrycja Żurek
Projekt okładki: Dominika Budzińska & e-bookowo

ISBN e-book 978-83-7859-470-3
ISBN druk 978-83-7859-471-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2015

Wszystkim, których kocham...

I

Barcelona dała jej wolność. Niesamowite miasto, pełne chaosu i prawdziwego życia w pewnym sensie pomogło wreszcie odnaleźć spokój. Zakochała się w nim bez pamięci, zachwycona każdym najdrobniejszym szczegółem. Pełne urokliwych zaułków i zabytkowych budowli służyło z architektury i niepowtarzalnego stylu, stając się jednym z najpiękniejszych miast Europy. Teraz stało się oazą, portem, w którym odnalazła bezpieczną przystań.

Minął ponad rok od spotkania w parku, od kiedy widziała go po raz ostatni. Przez ten czas wiele się wydarzyło. Jednak nie udało się zapomnieć. Zresztą wcale nie chciała. Woląca pielęgnować wspomnienia. Scott był całym jej życiem. Wciąż zajmował najważniejsze miejsce w sercu i myślach. Nie chciała tego zmieniać.

Wtedy, patrząc jak odchodzi, wiedziała, że będzie umierać z tęsknoty. Czuła, jak pęka jej serce, w które bezlitośnie wdziera się ból rozpaczy. Chciała za nim biec, błagać, by został. Oddałaby wszystko, by cofnąć czas, by móc go zatrzymać, ale wiedziała, że nic by to nie zmieniło, nie wtedy. Od tamtej chwili każdego ranka budziła się z nadzieją, że któregoś dnia po prostu

pojawi się w jej życiu, by pozostać na zawsze. Nadzieja dodawała sił. Sprawiała, że chciało się żyć, a Barcelona – pełna radości i słońca napawała optymizmem i była jak czarodziejski koktajl, potęgujący wiarę i energię. Zaczynała kolejny rozdział pewna, że spędzony tu czas, przyniesie wiele dobrego, a miasto niejednokrotnie ją zaskoczy.

Początek września. Od prawie dwóch lat miesiąc ten miał szczególne znaczenie, nie tylko z powodu zbliżających się urodzin, ale głównie dlatego, że właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Poukładany dotychczas świat w ułamku sekundy rozsypał się na drobne kawałki, by tak już pozostać. Nic nie było takie jak przedtem. Czasami czuła się jak w pułapce bez wyjścia. Życie w objęciach koszmaru, pełne lęku i niepewności bez szans na rychłą zmianę. Tak właśnie wyglądała ostatnio pozornie szara egzystencja.

Osiemnaste urodziny minęły bez echa, jakby w ogóle ich nie było. Przeplakała cały dzień, zamknięta w pokoju. Po odejściu Scotta nie chciało jej się żyć. Potrzebowała czasu. Minęło wiele tygodni, zanim zdołała się pozbierać. Musiała. Pragnęła jak najszybciej skończyć szkołę i wyjechać z Portsmouth. Wyjechać jak najdalej. Zostawić to dziwne miasto.

Do Barcelony przyjechała niecałe dwa tygodnie temu. Tym razem czasu było zdecydowanie za mało, by kogoś poznać. Wciąż nie mogła uwierzyć, że w Portsmouth już pierwszego dnia znalazła przyjaciół. Teraz wydawało się to zupełnie nierealne. Tam wszystko dzia-

ło się tak szybko. Niesiona na skrzydłach szalonej miłości, zniewolona przez makabryczne senne wizje i koszmary, przytłoczona tempem zaskakujących zdarzeń nie była w stanie nawet na chwilę się zatrzymać. Musiała poddać się temu, co było pisane, nie bronić przed tym, co przynosił los. A on postawił na jej drodze Scotta.

W Portsmouth nic nie działo się przypadkiem. Wiele się wydarzyło, zanim to zrozumiała. Scott, Sofie i Justin po prostu czekali na jej przyjazd. Byli tam, by pomóc. A miłość? Spadła jak grom z jasnego nieba. Jakby ktoś rzucił urok, od którego nie można się uwolnić. Zakochała się w sobie od pierwszego wejrzenia. Nie sądziła, że to możliwe. A jednak stało się. Chyba że ktoś podstępnie za nich zdecydował. Tylko dlaczego szalone uczucie, które załęgło się głęboko w sercu, nie gasło wraz z upływem czasu? Żarliwa miłość paliła niczym ogień. Sprawiała ból i cierpienie. Była nieustającą tęsknotą.

Nadchodzące urodziny. Może nie tak smutne jak ostatnio, choć samotne. Na przyjazd dawnych znajomych nie mogła liczyć. Po zakończeniu szkoły każdy na poważnie zajął się dorosłym życiem, próbując nie tracić cennego czasu. Emily też nie mogła przyjechać, chociaż miały ze sobą bardzo dobry kontakt. Nawet po tym, kiedy, wkrótce po ich rozmowie, złożyła papiery rozwodowe, a potem wyjechała. Wróciła w rodzinne strony, do Inverness.

Martika nie miała żalu. Rozumiała ją. Życie, które wiodły, okazało się tylko pozornie idealne, a Adam Royensen, oprócz zdrad i nieustających romansów, miał

wiele więcej na sumieniu. Tak przynajmniej myślała.

Ostatni rok był trudny. Emily wpadała tylko na chwilę w sprawach dotyczących rozwodu i czasami na weekendy. Ojca widywała w przelocie, pomiędzy jego służbowymi wyjazdami. Niewiarygodne, że wciąż nie mieli okazji spokojnie porozmawiać. Musiała być cierpliwa, ale właśnie tego nauczył ją pobyt w Portsmouth.

Jednak był ktoś, kto wciąż czuwał i ją wspierał, na kogo mogła liczyć. Justin, niczym dobry duszek, pojawiał się zawsze, kiedy tego potrzebowała. Już nigdy nie wracali do tamtej rozmowy i tego, co się stało. Była wdzięczna, że pojawił się w jej życiu, podobnie jak Scott i Sofie. Chociaż wciąż nie miała pewności, kim byli naprawdę. I Tish. Przychodziła na babskie pogaduszki, a potem po prostu zostawała na dłużej. Sofie nie wróciła do miasta. Po kilku miesiącach ktoś powiedział, że jej dom został sprzedany. Czasami tęskniła, wracając myślami do wspólnie spędzonych chwil. Była ciekawa, co się z nią dzieje, gdzie tym razem uwiła gniazdko. Co prawda miała do niej odrobinę żalu. Wyjechała przecież bez pożegnania, ale to była cała Sofie, tajemnicza i nieprzewidywalna. I za to ją lubiła.

Spojrzała na wzburzone w oddali morze, rozkoszując się widokiem. Niewielkie mieszkanko niedaleko portu stało się rajem, który próbowała przytulnie urządzić. Ojciec zawsze ją rozpieszczał, robił drogie prezenty. Niewątpliwie kochał córkę nad życie, bo tym razem przeszedł samego siebie, nie dając żadnych ograniczeń

finansowych. Studia prawnicze i mieszkanie z widokiem to już nie były tylko drogie perfumy. Barcelona nie należała do najtańszych zakątków. W tym rejonie Hiszpanii i dzielnicy, w której właśnie zamieszkała, ceny wzrastały, osiągając niewyobrażalne rozmiary. Nie miała skrupułów, by z tego korzystać. Liczyły się ambicje i określony cel.

Mieszkanie wynajęli na rok. Na początek i gdyby coś kiedyś miało się zmienić. Na załatwienie uczelnianych spraw pozostała jeszcze chwila czasu. Doceniała możliwość studiowania w języku angielskim. Pomimo że przez ostatnie trzy lata wytrwale kuła hiszpański, przyjazd tutaj uświadomił jej, jak wiele przed nią pracy.

Otworzyła szeroko drzwi na mały, tonący w kwiatkach balkonik. Dwupokojowe mieszkanie nie należało do najnowszych. Mieściło się w starej kamienicy przez co miało osobliwy urok. Właściciel, nieopierzony syn hiszpańskiego przedsiębiorcy odziedziczył je po zmarłym niedawno ojcu. Natychmiast zadbał o remont, ujrzawszy w stylowej spuściźnie dochodowy interes. O ile kamienica z zewnątrz nie wyglądała najlepiej, mieszkanie prezentowało się niemal jak nowe. Wymienione podłogi, wystrój łazienki i kuchni należącej do niewielkiego salonu nosiły odcień ciepłego beżu. Zadbano o wejściowe drzwi i okna. Ktoś, kto się tym zajął, miał wyczucie smaku i dobry gust.

Pan Royensen pomógł Martice urządzić sypialnię. Kupił wygodne łóżko, toaletkę, którą wypatrzyła na targu staroci i olbrzymi kolorowy fotel. Na tym się skoń-

czyło. Zapracowany ojciec mógł poświęcić córce tylko weekend. Do dalszej pomocy zobowiązał się właściciel, który wciąż pozostawał pod wielkim urokiem nowej lokatorki. Umówili się na dzisiejsze popołudnie. Miał wpaść na chwilę i dopilnować dostawy mebli, które obiecano przywieść około szesnastej.

Zamknęła balkon, czując, jak lejący się z nieba żar zaczyna wkradać się do pokoju. O tej porze roku nie można było liczyć na chłód. Tutaj wciąż było upalne lato.

Zegar za oknem wybił południe. Usiadła na jedynym krześle, jakie było w kuchni i dopiła zimne cappuccino. Myśl, że niedługo rozpocznie wykłady na tutejszym wydziale prawa, wywoływała w niej stan ekscytacji. Nie mogła się doczekać, ciekawa nowego miejsca, ludzi i sytuacji. Wstawiła filizankę do zlewu i wolnym krokiem powędrowała do łóżka. Położyła się na miękkiej atłasowej pościeli, bezmyślnie gapiąc w sufit. Uliczny gwar wpadał przez uchylone okno. Po raz setny uświadomił jej, że dobrze wybrała. Czuła się tu szczęśliwa. Ściszony dźwięk telefonu leżącego obok na poduszce wyrwał ją z rozmyślań.

- Martika?
- Witaj, mamó! – ucieszyła się, słysząc głos Emily.
- Cześć, kochanie!
- Fajnie, że dzwonisz! – wykrzyknęła radośnie. – Chyba nic się nie stało? – zawahała się.
- Nie, nic się nie stało. Opowiadaj, co tam u ciebie?
- Cudownie! – w jej głosie słychać było euforię. –

Musisz przyjechać! W tym mieście nie ma czasu na smutki czy rozterki, tu się po prostu żyje pełnią życia! Przyjazd tutaj to najlepsza rzecz jaką zrobiłam! – mówiła podekscytowana. – Jest wspaniale! Właśnie dzisiaj jestem umówiona z właścicielem. Taki dziwak. Pomoże mi przy dostawie mebli. Mieszkanie prawie urządzone. Jest śliczne! Koniecznie musisz mnie odwiedzić!

– Przyjadę, oczywiście, ale jeszcze nie teraz.

– Jesteś smutna, czy mi się wydaje?

– Nie, dziecko. Ohydna pogoda. Zimno i leje. – Pani Royensen wydawała się przygaszona.

– Na pewno? – nie wierzyła jej. – To jedyny powód?

– A jaki może być inny? U ciebie pewnie pełnia lata! – próbowała zmienić temat.

– To prawda, wciąż nie mogę się przyzwyczaić! Wakacje cały rok!

– Bez przesady, za chwilę czeka cię niezła harówka.

– Wiem, wiem.

– Tata był? – głos Emily brzmiał nieswojo.

– Był, w ten weekend – odpowiedziała zaniepokojona.

W słuchawce zapadła cisza.

– Mamo? Jesteś?

– Tak... jestem...

– Co się stało? Przecież czuję, że coś jest nie tak!

– Pogadamy, jak przyjadę.

– Martwisz mnie.

– Daj spokój! Naprawdę nie ma powodu! – starała się ją uspokoić. – Baw się dobrze w nowym świecie

i uważaj na siebie! Odezwe się za parę dni.

– No dobra, może ja zadzwonię. Opowiem ci jak wygląda salon!

– Buziaki, kochanie!

– Pa – zamyślona odłożyła telefon z powrotem na poduszkę.

Martwiła się o Emily. Ostatnio każda rozmowa wyglądała podobnie. Pani Royensen najwyraźniej miała kłopoty, o których nie chciała mówić.

Podniosła się z łóżka, czując, jak cała lepi się od potu. Robiło się naprawdę gorąco. Wskoczyła pod chłodny prysznic. Jeszcze przez chwilę pokręciła się po mieszkaniu owinięta cienkim ręcznikiem, a potem zarzuciła krótką szarą sukienkę i zbiegła na dół do sklepu. Nie wielki kramik w bocznej wąskiej uliczce był wystarczająco dobrze zaopatrzony, by robić w nim codzienne zakupy. Było tam wszystko, czego potrzebowała młoda studentka. Oczywiście po coś bardziej wyszukanego i po to, by trochę zaoszczędzić, musiałyby wybrać się do supermarketu. Jednak o tej porze dnia nie byłby to najlepszy pomysł. Sklep był oddalony o kilka przecznic stąd.

Z chrupiącą bagietką pod pachą i siatką świeżych warzyw w ręce niemal w podskokach wracała do domu. Skinęła na widok starszej pani, rozwieszającej w oknie pranie. Kobieta posłała jej serdeczny uśmiech. Pomyślała o południowcach. Jak bardzo ich sposób bycia i temperament różnił się od tego, którym obdarzeni zostali ludzie północy. Podobało jej się tutaj. Słońce spra-

wiało, że chciało się żyć.

Powoli wchodziła schodami na górę. Czuła, że znowu jest cała mokra. Rzuciła zakupy na kuchenny szeroki parapet i wbiegła do łazienki. Musiała ponownie wziąć prysznic. Mieszkanie nie miało klimatyzacji. Może nikomu do tej pory nie było to potrzebne, ale ona nie była przyzwyczajona do takich temperatur. Postanowiła poruszyć temat, jak tylko pojawi się właściciel. Parę minut przed szesnastą ktoś zapukał do drzwi.

– Hola¹, Adamis! – krzyknęła, widząc w drzwiach niewysokiego mężczyznę.

– Hola, Martika! – przywitał się, wchodząc do środka.

– Co słyszać? – zagadnęła, zapraszając do pustego salonu.

– W porządku – odpowiedział ocierając czoło.

– Gorąco dzisiaj – podtrzymywała rozmowę.

– Owszem gorąco, ale tutaj to normalne – odezwał się dość poprawnym angielskim z hiszpańskim akcentem.

– Przepraszam, ale nie bardzo mogę cię ugościć – wzruszyła ramionami, rozglądając się po pustym pokoju.

– Prawdopodobnie możliwe to być za minutę – mruknął pod nosem.

Zaśmiała się. Dostawa oczywiście się spóźniła, ale to było do przewidzenia. W końcu byli w Hiszpanii, w kraju, w którym nikt się nie spieszy, a przez większość dnia panuje siesta.

¹ Hola (hiszp.) – Cześć.

Stali na balkonie, obserwując w milczeniu ruchliwą ulicę. Martika zerknęła na mężczyznę kątem oka. Stwierdziła, że podoba jej się w nim tylko imię, które według niej oznaczało „Adam jest” lub jak sobie sprytnie przetłumaczyła: „jestem Adam”. Bawiło ją nagłe odkrycie. Szkoda tylko, że imię nijak pasowało do właściciela. Facet był po prostu brzydki i przeraźliwie zaniedbany, a może ona oceniała go zbyt krytycznie. Tłuste, kruczo-czarne, dawno nie strzyżone włosy opadały na niezbyt urodziwą twarz. Co jakiś czas je odgarniał, przecierając spocone czoło. Owszem, upał dawał się we znaki, ale wody w tym kraju nie brakowało. W razie czego zawsze można było zanurzyć się w morzu. Dziwił ją brak higieny. Był zaledwie parę lat starszy. Zastanawiała się, jak można aż tak się zapuścić? Był raczej drobny, niewielkiego wzrostu, chyba nawet nieco od niej niższy. Ubrany niechlujnie w dziurawą koszulkę i krótkie, lekko przybrudzone spodnie wyglądał niczym kłoszard, który właśnie wytoczył się ze śmierdzącej nory.

– Miałeś jakąś awarię, czy co? – zapytała nagle.

Spojrzał zdziwiony. Chyba nie zrozumiał aluzji. Już miała coś wspomnieć na temat mało wyjściowego wyglądu, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Na dole kilku mężczyzn powoli opróżniało wielką ciężarówkę.

Nowiutka biała kanapa wykonana z miękkiego materiału idealnie pasowała do wnętrza. W komplecie przywieziono dwa fotele, cztery szare i cztery czerwone niezbyt duże poduszki do dowolnej aranżacji. Nie chciała skórzanych mebli. W tej temperaturze to nie miałyby

sensu. Mięciutki, przyjemny w dotyku materiał był w sam raz, by wylegiwać się na nim nawet w skąpym odzieniu.

Mili, choć umęczeni upałem panowie, wnieśli ostatni mebel. Nowe wyposażenie wypełniło salon. Na razie wszystko stało na środku. Adamis obejrzał dokumenty dostawy. Sprawdził dokładnie, po czym poprosił grzecznie Martikę o złożenie podpisu. Nie omieszkął przy tym zajrzeć jej w dekolt, co zresztą jawnie czynił od samego początku. Podziękowali dostawcom, żegnając ich okrzykiem. Mężczyzna pomógł ustawić meble zgodnie ze wskazówkami. Salon wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała.

W mieszkaniu zrobiło się przytulnie. Usiadła na kanapie, pogładziła dłońmi biały materiał. Potem wstała, próbując wymyślić jakieś kompozycje z poduszek. Cały czas ją obserwował, bezczelnie gapiąc się na biust i nogi. Zaczynała żałować, że ubrała taką sukienkę.

– Muchas gracias por su ayuda² – powiedziała, dziękując za pomoc w nadziei, że sobie pójdzie.

– Może mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – wybełkotał tym razem łamaną angielszczyzną.

– Nie, naprawdę dziękuję, bardzo mi pomogłeś.

Otworzyła drzwi. Wahał się przez chwilę. Sprawiał wrażenie, jakby intensywnie o czymś myślał, aż wreszcie ruszył w kierunku wyjścia.

– Może... – zagadnął po drodze.

² Muchas gracias por su ayuda (hiszp.) – Dziękuję bardzo za pomoc.

– Nos vemos³, Adamis! – odezwała się zniecierpliwiona.

– Nos vemos! – odpowiedział, wciąż się ociągając.

Miała ochotę go kopnąć i zatrzasać za nim drzwi. W końcu poszedł. Odetchnęła z ulgą. Opadła na kanapę. Była wykończona, ale salon wyglądał cudownie. Wielka, biała szafa stała przy ścianie naprzeciwko kuchni. Nie zmieściła się w sypialni. Przy drugiej ścianie stała kanapa, z której można było podziwiać bujny ogród na małym balkonie. Obok fotele i niski szary stolik. Do pełnego wystroju brakowało tylko kilku gadżetów. Postanowiła nabyć je w najbliższym czasie. Telewizor okazał się zbędny. Szybkie internetowe łącze wystarczało w zupełności.

Nie miała siły się ruszyć. Na szczęście zbliżał się wieczór. Zrobiło się trochę chłodniej. Dopiero teraz przypomniała sobie o klimatyzacji. Na śmierć zapomniała, by o to zapytać. Jednak na samą myśl o ponownym spotkaniu z niedomytym Adamisem robiło jej się niedobrze. Woląa dusić się w upale, niż być skazaną na jego towarzystwo.

Następne dni wypełniły sprawy związane z uczelnią. Wciąż brakowało czasu na zwiedzanie miasta. Szukanie podręczników i załatwianie formalności pochłoneły ją całkowicie. Gdyby nie kilka telefonów z życzeniami, nie zauważyłaby, że ma urodziny. Po drodze do domu kupiła butelkę czerwonego wina. Wieczór był ciepły i przyjemny. Wiatr, co jakiś czas wpadający do mieszkania,

³ Nos vemos (hiszp.) – Do zobaczenia.

przynosił powiew morskiej bryzy, siejąc lekki zamęt. Przez otwarte na oścież okna, wkraadał się uliczny gwar, wypełniając wnętrze życiem. Tym życiem zaczynało tętnić miasto. Noc dopiero je budziła. Pod tym względem Barcelona nie miała sobie równych.

Zgrabnym ruchem otworzyła butelkę. Była zdumiona, że poszło tak dobrze. Przecież robiła to po raz pierwszy. Zastanawiała się, czy to zasługa wieloletnich obserwacji, czy też drogiego korkociągu. Wino było wyśmienite. Przez dłuższą chwilę delectowała się ciekawym smakiem, wdychając aromat pobudzający zmysły. Dodatkowa zaleta tego miejsca. Hiszpańskie wina, znakomite i niedrogie.

Usiadła w fotelu z kieliszkiem w dłoni. Pomyślała o Sofie. Przed oczami stanął jej podobny obrazek. Ich ostatnie spotkanie, kiedy powiedziała jej o Scotcie. Teraz z kieliszkiem pełnym czerwonego wina wyglądała niemal identycznie. Brakowało tylko ciemnych ścian i kominka. Westchnęła głęboko. Nawet nie żałowała, że jest sama. Zdążyła się przyzwyczaić. Czasami tylko męczyły ją wspomnienia, które wracały jak bumerang i były o wiele gorsze niż samotność. Zwłaszcza w takiej chwili jak teraz, kiedy odzywała się tęsknota i próbowała zawładnąć całym ciałem. Nie umiała tego opanować. Łzy, wielkie jak groch, kapwały do pustego kieliszka. Pograżyła się w myślach. Chciała przynajmniej go usłyszeć. Dlaczego znowu nie zadzwonił? Gdzie był i co robił? Czy cierpiał podobnie jak ona, wciąż nękany wspomnieniami, których nie dało się odpędzić, a może

straciła go na zawsze? Może nie warto czekać? Zaczynała tracić wiarę.

Poszła po wino. Postawiła butelkę na stole. Dopiero teraz spostrzegła łzawą zawartość kieliszka. Nie chciało jej się wracać do kuchni, choć nie było przecież daleko. Przechyliła butelkę do ust, biorąc potężnego łyka.

– Boże, co ja wyprawiam! – powiedziała do siebie, wstała i przyniosła czyste szkło.

Rubinowa ciecz o nieziemskiej mocy ponownie wypełniła lampkę. Spojrzała na leżący na oparciu fotela telefon. Znowu się rozkleiła. Haustem wypila kolejny kieliszek. Wybrała numer do Scotta. Wciąż był w komórce, chociaż od dawna nieważny. Nie traciła nadziei, że w końcu usłyszy jego głos. Po raz kolejny wybrała numer i po raz kolejny usłyszała dobrze znany komunikat – „Wybrany abonent jest niedostępny”. Z całych sił rzuciła telefonem o ścianę. Kilka jego misternie skonstruowanych części rozpadło się na twardej podłodze.

Zalewając się łzami sięgnęła po wino. Wypila do dna. Kręciło jej się w głowie. Pokój wirował dookoła niczym pędząca karuzela. Nie poddawała się. Ponownie podniosła butelkę i bez chwili namysłu, opróżniła zawartość. Było jej niedobrze. Poczula jak wypity, zbyt szybko i w zbyt dużych ilościach trunków, zaczyna krążyć w żyłach, siejąc spustoszenie w organizmie. Nagle zerwała się z fotela. Czuła, że zaraz zwymiotuje. Prawie na czworakach pomknęła do łazienki. Spędziła tam całą noc, myśląc, że umiera.

Spis treści

I	5
II	19
III	28
IV	39
V	44
VI	57
VII	68
VIII	82
IX	105
X	118
XI	139
XII	158
XIII	164
XIV	175
XV	184
XVI	194
XVII	208
XVIII	221
XIX	230
XX	248
XXI	261
XXII	278